



NURT

TIN

JOHNSTON

MARGINESY AUTOR BESTSELLEROWEGO *W DÓŁ*

The Current

COPYRIGHT © 2019 BY Tim Johnston

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Karolina Iwaszkiewicz

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2021

Dla wujka Ricka i cioci Kathy, z wdzięcznością – za to, że pokazali mi, jak to się robi: zawsze z poczuciem humoru, śmiechem i miłością.

I dla mojej matki, Judy Johnston, która wciąż niezłomnie, z miłością, humorem i wdziękiem przewodzi naszemu małemu klanowi.

*Te ostatnie słowa wyszeptał tak cicho, że były
niedostłyszalne dla kogoś, kto nie kochał.*

Ernest Hemingway, *Za rzekę, w cień drzew*,
przeł. Bronisław Zieliński

CZĘŚĆ I

1

Te dwie dziewczyny, dwie młode kobiety, poznały się w dniu, gdy na początku pierwszego roku zamieszkały razem na trzecim piętrze Banks Hall, w pokoju z oknami wychodzącymi na północ, z widokiem na zielone trawniki, korony drzew i potoki studentów przelewające się w tę i z powrotem chodnikami w dole. Połączone w wyniku jakichś tajemniczych procesów, może przez algorytm komputerowy, a może przez przytłoczonego tysiącami teczek zmęczonego administratora, najpierw próbowały się zaprzyjaźnić, potem starały się po prostu żyć w zgodzie, aż w końcu złożyły wnioszek o przeniesienie, każda z osobna, nic nie mówiąc drugiej, i przed końcem ferii zimowych wyprowadziły się do nowych pokoi z nowymi współlokatorkami. Kiedy później trafiwały na siebie na kampusie, udawały, że się nie widzą; odwracały wzrok, patrzyły w niebo, musiały pilnie sprawdzić coś w telefonie. Jakby zawarły pakt o niewidzialności – i ten pakt mógłby obowiązywać już zawsze, a przynajmniej do końca studiów, gdyby nie pewne zajęcia z literatury, jesienią na drugim roku.

Zajęcia – nazywały się Romantycy, jak jakiś zespół – odbywały się w ciasnej, zbyt małej sali, niewiele większej niż pokój w akademiku, ale żadna z dziewczyn nie chciała z nich zrezygnować, więc przychodziły i siadały każda na swoim miejscu. W trzecim tygodniu jedna się spóźniła i nie miała wyboru, musiała usiąść obok drugiej – i od tamtej pory robiły to specjalnie: siedziały ramię w ramię, wpatrzone w profesorkę, z otwartymi zeszytami. Jak w jakiejś akademickiej grze w cykora, na którą prawdę mówiąc, żadna nie miała większej ochoty – ale tym bardziej żadna nie chciała przegrać, więc tak to szło. Aż do pewnego dnia, gdy jedna z nich – Caroline – odwróciła się do drugiej – Audrey – i zapytała, czy ma pożyczyć długopis, a tamta zaczęła przeszukiwać swój plecak z taką werwą, że nauczycielka, przechadzająca się wte i wewte po swoim wąskim torze pod tablicą, zatrzymała

się i uniosła brew. Audrey grzebała i kopała, aż w końcu z ostatniego miejsca, w którym można by się go spodziewać, wyciągnęła najwykleszego niebieskiego bica z pogryzioną skuwką, podała go Caroline i w ten prosty sposób zaczęły od nowa. Zresetowały swoją wspólną historię i zostały przyjaciółkami.

Nieco później w tym samym roku akademickim, czwartego lutego, Caroline Price kończy dwadzieścia lat, a dwa dni potem w Common Grounds Café Audrey Sutter oznajmia, że jej ojciec jest chory i że musi do niego jechać, tylko nie ma czym, a wszystko, co przelał jej na konto, poszło na chesne, więc zastanawia się, to znaczy chciała zapytać, czy mogłaby pożyczyć sto pięćdziesiąt dolarów na autobus; odda, kiedy... no, jak tylko będzie mogła. A Caroline Price, pijąc czarną kawę, wzdyga się na widok tego, co wyświetla się jej przed oczami – może jest to zimne wnętrze autobusu, wypełnione smrodem spalin i pomrukiem silnika, i przyjaciółka jadąca do tej oddalonej o Bóg wie ile kilometrów Arktyki, żeby odwiedzić chorego (umierającego?) ojca, sama, jeśli nie liczyć jakiegoś wieśniaka z pletwą włosów na karku i cuchnącym oddechem, tylko czekającego, aż Audrey zdejmie słuchawki, jakby w ogóle miała to zrobić!

To nie Arktyka, mogłaby jej zwrócić uwagę przyjaciółka, tylko Minnesota, ale dla Caroline, dziewczyny z Georgii, na jedno wychodziło. Nawet Memphis, niecałe trzy godziny od jej rodzinnego miasta, to było za dużo. Burza śnieżna, konar, który w zeszłym tygodniu zerwał linię prowadzącą do akademika, i cały weekend spędzony w chłopskim smrodzie w pokoju Troya, w bibliotece i tu, w tej kawiarni, zanim to naprawili...

Audrey siedzi po drugiej stronie stolika i czeka, Caroline widzi w jej wilgotnych błękitnych oczach – jasnych arktycznych oczach – swoje odbicie i w końcu odpowiada: Jasne, oczywiście, o której odjeżdża twój autobus, zawiozę cię na dworzec, a wtedy Audrey ociera łzy z policzków, rozchmurza się i mówi jak ktoś, kto właśnie oprzytomniał po uderzeniu w głowę:

– Caroline, bardzo ładnie dziś wyglądasz. Co się stało?

Bo jej przyjaciółka, sama by to pierwsza przyznała, jeśli nie spotyka się z Troyem w piątkowy wieczór ani nie wychodzi po-
tańczyć z koleżankami z drużyny, wygląda jak ktoś, kim jest:
wysoka wyluzowana siatkarka w dresach i adidasach, idąca po-
ćwiczyć albo właśnie wracająca z treningu. Ale kiedy chce zrobić
wrażenie, kiedy włoży spódnice i buty na obcasie i zrobi makijaż,
można pomyśleć, że spadła z jakiejś innej planety, że nagle zmie-
niła się w jakąś alternatywną, oszałamiająco piękną Caroline.

Tylko że jest wtorek, dziewiąta rano, a ona idzie na zajęcia –
więc o co chodzi?

Dobre pytanie, uzasadnione pytanie, ale Caroline musi lecieć
– znów jest spóźniona, jak zawsze; Audrey patrzy przez okno,
jak przyjaciółka szybkim krokiem zmierza w stronę kampusu
w krótkiej kurtce, krótkiej spódniczce i cienkich rajstopach, po-
chylona do przodu na wietrze, który napiera na nią jakby celowo,
jakby chciał ją zniechęcić, zatrzymać, zawrócić, *Wracaj do swojego
pokoju, Caroline Price, wracaj do łóżka, schowaj się pod ciężką koł-
drą, którą stare kobiety w domu uszyły specjalnie dla ciebie, nic nie
da ci takiego ciepła, nawet chłopak...*

Caroline stuka obcasami w chodnik, wciska długie palce do
płytkich kieszeni, mruga na wietrze sztywnymi od tuszu rzęsa-
mi i pewnie sama siebie pyta, o co chodzi. Spotkanie z profes-
orem, i tyle. Po zajęciach, jeśli miałyby czas, tak napisał w mejlu.
Okej. Dla odmiany zrezygnowała z adidasów i bluzy z kapturem,
ale to wszystko, nic takiego.

To nie ma nic wspólnego z seksem – w końcu ma chłopaka.

A profesor jest s t a r y – w sensie po czterdziestce.

Chociaż Caroline zna dziewczyny, które tak bardzo chcą do-
stać to A, dziewczyny, które nauczyły się już w szkole średniej
– kurde, w p o d s t a w o w e j – jak to działa. Świat. W ł a d z a.

*Ale ta władza jest fa ł s z y w a, dziecko, mówiła babunia. Ze
sztuczną szczęką, zgarbiona, malutka. Ta władza obraca się prze-
ciwko człowiekowi jak bezpański pies.*

Profesorowie, ci starsi mężczyźni, mądrzy, ojcowski nauczyciele – zawsze widać, kogo mają na oku. I widać, jak to się rozwija z biegiem semestru, kiedy ta wybrana przychodzi na zajęcia o dziewiętej: ciuchy, włosy, kolczyki, rzęsy.

Ale to nie to. Caroline przyszłaby na uczelnię w pieprzonym kocoszlafroku, gdyby miała taką fantazję, i dostałaby stopień stosowny do tego, co umie, tak jak potrafi zapracować na zwycięstwo na boisku, gdzie nie ma ocen ani flirtów, tylko mięśnie i pot, i jednoznaczne liczenie punktów.

A perfumy... no, dziewczyna chce ładnie pachnieć, kiedy ładnie wygląda. Tylko odrobina, kropelka, na szyi. Dla siebie i nikogo innego. Z pewnością nie dla jakiegoś czterdziestolatka, który chce się z nią spotkać po zajęciach, jeśli miałaby czas.

Audrey wyłowiła ten delikatny zapach spod aromatu kawy, zanim Caroline usiadła – wiedziała, że to dobra marka, pamiętała ten malutki francuski flakonik, kupiony latem w Nowym Jorku – kojarzył jej się z przyjaciółką równie mocno jak intensywna woń zielonej mazi, którą Caroline nacierała nogi przed treningami, przed każdym meczem i czasem, w tamtym pokoju, przed pójściem do łóżka. I właśnie tę dziwną mieszankę zapachów – lekkie francuskie perfumy i ciężką maść – Audrey czuje, gdy wychodzi z kawiarni, na ten sam zimny wiatr, ale ją ten wiatr popycha, bo idzie w przeciwnym kierunku; nie zatrzymuje jej, tylko gna do domu, żeby się szybciej spakowała, szybciej była gotowa, kiedy Caroline po nią przyjedzie, szybciej (choć wie, że to nielogiczne) dotarła do ojca, który oczywiście mówił, żeby została na uczelni, bo tu nie ma co oglądać, nieoperacyjny rak, i tyle, nic, co nie mogłoby poczekać do wiosny...

I gdy w głowie Audrey trzepoczą takie myśli, tuż nad nią powietrze wybucha przemocą, jakby to była w gruncie rzeczy część tych myśli, ich zbiegły fragment – nagłe poruszenie, wrzask i jakiś ptak o mało nie rozbija się na jej głowie; przelatuje tak blisko, że dziewczyna czuje podmuch powietrza, tak nisko, że po jej przedziałku przeciąga coś miękkiego i żywego – to aksamitny

ogon młodej wiewiórki, Audrey widzi ją teraz, leci niczym parolotniarka w ptasich szponach, a potem to ptasio-gryzoniowe kombo z piskiem i biciem skrzydeł opada na ziemię za niewysokim żywopłotem: trudne lądowanie, którego nikt – dziewczyna rozgląda się, studenci człapią z pochylonymi głowami, przyklejeni do telefonów, ze szpuntami słuchawek w uszach – nikt oprócz niej nie zauważył ani nie usłyszał.

Audrey powoli obchodzi żywopłot, dociera do tamtego miejsca i widzi ptaka; to jastrząb, z całą pewnością – stoi tyłem do niej, wielkie nastroszone skrzydła rozłożył na trawie jak wachlarze, przypomina zepsuty samolot, tu, na dole, te skrzydła sprawiają wrażenie ramion, podpór podtrzymujących go nad wiewiórką, młodym okrągłookim zwierzątkiem wijącym się w klatce jego szponów.

Jastrząb odwraca głowę, zerka na Audrey czarnym okiem i bezgłośnie otwiera ostry dziób. Ona stoi, nic nie robi. Nic nie mówi, tylko patrzy. Bierna, ale czujna obserwatorka dzięki przyrody na kampusie. Drapieżnik i ofiara. Jastrząb przygląda się jej – czarne oko, ostry dziób – ocenia jej zamiary, zastanawia się, czy przeczekać, rozważa argumenty za i przeciw, aż w końcu wydaje pojedynczy wysoki dźwięk, jakby chciał powiedzieć: *Ty mała suko*, podnosi te wielkie skrzydła, otwiera szpony i po jednym zamaszystym uderzeniu znów jest w górze, a po drugim już go nie ma.

Wiewiórka leży z szeroko otwartymi oczami, z brzuchem przy ziemi. Może jest w jakimś wiewiórczym szoku, a może to ten podobny do śmierci stupor, w który podobno wpada ofiara, gdy straci wszelką nadzieję, gdy pozostało jej już tylko umrzeć. Ale potem zrywa się nagle i ucieka w krzaki, i nie ma nic – tam, gdzie leżała, tam, gdzie siedział jastrząb – tylko przypadkowy kawałek trawy, i nikt tego wszystkiego nie widzi poza Audrey, która nikomu o tym nie powie, nawet Caroline, bo to jej własne wydarzenie – zesłany z nieba znak, na pewno, wiadomość o wybawieniu od śmierci w ostatniej sekundzie.

I ożywiona, pobudzona tą wizją dwoma susami pokonuje cztery drewniane stopnie prowadzące na ganek szarego domku, w którym wynajmuje pokój, w taki sam sposób wbiega po schodach wiodących do dwóch pokoi na górze i zaczyna wyrzucać rzeczy na łóżko, jakby szykowała się do ucieczki. Jak ktoś, komu właśnie obiecano, że zostanie ułaskawiony.

Po zajęciach, tak jak napisał w mejlu, Caroline idzie za nim korytarzem, wchodzi do jego gabinetu i patrzy, jak zamyka za nią drzwi, ale nie całkiem, nie słychać kliknięcia, zostaje szczelina, w sam raz taka, żeby mieć w tym ciasnym pokoiku trochę prywatności, trochę, ale nie za dużo: Siadaj, proszę. Dwa stare skórzane fotele z jakiejś wyprzedaży podwórkowej. Wszędzie książki. Na ścianach pisarze: nieżyjący starzy biali mężczyźni w nieoficjalnych sytuacjach, jakby znał ich osobiście, jakby sam robił te zdjęcia przy cygarach i whisky w zabarwionej sepią przeszłości.

Caroline siada i zakłada nogę na nogę, on zajmuje drugi fotel i też zakłada nogę na nogę, demonstrując elegancką brązową skarpetkę i jasnobrązowy but; nosek buta jest tak blisko jej kolan, że ozdobne dziurki wyglądają jak jakiś narząd, którym chciałyby ją powąchać. Gabinet jest tak mały, że Caroline, czując swoje francuskie perfumy, ma wrażenie, jakby w pokoju była jakaś inna dziewczyna, i jej serce podskakuje z zakłopotania.

Profesor nie odrywa spokojnego jasnobłękitnego spojrzenia od jej twarzy, więc Caroline jest zaskoczona, kiedy mówi:

– Ładnie dziś wyglądasz. Masz mecz?

– Nie – odpowiada Caroline. – Jest wtorek. – Jakby każdy, nawet wykładowca angielskiego, znał harmonogram siatkarek.

– Ach tak.

Profesor kiwa głową, zapada milczenie, Caroline też kiwa głową.

– No więc... – Profesor odwraca się, bierze z biurka jakąś kartkę i znów się odwraca. – Chciałem zapytać o twoją recenzję z ostatniej lektury. – I trzymając kartkę przed sobą, czyta: – „Znakomite

dzieło epoki po 11 września, które ze świetnym skutkiem łączy wiele różnych punktów widzenia, ale w jakim celu? Całe imperia, całe cywilizacje znikają, więc jakie znaczenie ma tych kilka żyć? Tych kilka małych ludzkich istnień?”

Profesor trzyma kartkę i wpatruje się w napisane na niej zdania. Jakby przy odrobinie cierpliwości mogły się rozmnożyć. Spłodzić kolejne. Caroline zastanawia się, czy nie zdjąć nogi z nogi, ale decyduje, że tego nie zrobi. Przypomina jej się zaczerwieniona i mokra twarz Audrey Sutter. I łąza, która spadła w piankę na latte i wydrążyła w niej elegancką studzienkę.

Profesor rzuca kartkę na biurko, odwraca się i wbija w Caroline te swoje oczy.

– No więc? O co chodzi? – pyta, a ona patrzy w dół, na swoje kolano, i pociera je, a gdy podnosi wzrok, on też to robi, tyle że odrobinę za późno.

Co tu jest grane, profesorku? Jak to działa, tak ogólnie? Kto ma wykonać pierwszy ruch? W filmie, w książce, jak by to szło? To ja zamknęłabym te drzwi czy ty?

– Co pan ma na myśli? – pyta w końcu Caroline.

– Sądzę, że wiesz, co mam na myśli. Dlaczego się nie przykładasz? Jesteś bystrą, elokwentną młodą kobietą, a ja... cóż, ja... – Profesor się waha i właśnie wtedy uchylone drzwi mijają grupka studentów, a korytarz rozbrzmiewa ich śmiechem i bluzgami. *Ja pierdolę, mówią. Jebany, mówią.*

Profesor chrząka. Splata dłoń i kładzie je na swoim kolanie. Znów patrzy jej w oczy.

– Caroline – odzywa się, wymawiając jej imię tak, jakby było czymś słodkim i rozpluwającym się w ustach. – No weź. Czy proszę o zbyt wiele?

A o co pan prosi? chciałaby spytać. Czego pan ode mnie chce?

Ale ostatecznie tylko przeprosza – bardzo przeprosza, mówi. Rozumie. Następnym razem postara się bardziej, obiecuje, chociaż jest prawie pewna, że tak naprawdę profesor chciałby mieć kolejny pretekst, by wezwać ją do swojego pokoiku. Że tak na-

prawdę chciałby uwolnić jedną z tych splecionych dłoni, pozwolić, by mimo wszystkich alarmów odpalających się w jego sercu poszybowała w jej stronę, i pod okiem martwych pisarzy położyć ją z płaskiem na jej kolanie.

I co potem, dziewczyno? Co się dzieje, kiedy staremu psu zachce się kielbasy?

Potem Caroline idzie przez kampus do akademika Troya – spotyka się z chłopakiem, który wciąż mieszka w akademiku – i wali w drzwi, dziesięć razy, aż w końcu otwierają się niczym zlepiona powieka i staje w nich Phil, współlokator, w samych bokserkach. Zirytowany, kościsty i blady jak zwłoki obcina ją wzrokiem od góry do dołu – spódnica, uda – i w końcu mówi:

– Nie ma go tu.

Ale ona już o tym wie po dobiegającym od niego śwądzie zioła z nutką brudu. Troy nie pozwala palić w pokoju, zwłaszcza trawki, bo przez jej zapach na ciuchach, nawet najłżejszy, mógłby wylecieć z drużyny. Do widzenia, stypendium. Do widzenia, studia. Do widzenia, łóżko z ciepłą Caroline.

– A gdzie jest? – pyta, zerkając na godzinę w telefonie. Sprawdza, czy przyszła odpowiedź, która nie przyjdzie; zna plan jego zajęć, harmonogram treningów, posiłków. Jak własny.

Phil wzrusza kościstymi ramionami.

– Bo ja wiem, dziewczyno? Nie jestem jego stróżem.

Caroline zerka do środka, Phil otwiera drzwi na oścież, żeby mogła się rozejrzeć, ona patrzy na łóżka, biurka, ubrania, pudełka po pizzy, skarpety, torbę i najki Troya – i wie, po samym widoku, samym zapachu, że nie spędził tu nocy. Coś porusza się w jej piersi; serce wchodzi na parapet i zatacza się oszołomione, gotowe runąć. Jak wtedy, gdy Caroline traci piłkę przy siatce, gdy podskakuje, żeby ją odbić, i wie, że jej się nie udało, jeszcze zanim piłka przeleci z sykiem koło jej ucha, by na koniec łupnąć o parkiet – z dźwiękiem, który słyszy tylko ona. Pokonana. Przegrała, dostała nauczkę.

– Możesz wejść i poczekać – mówi Phil. – Chcesz przypalić?

Ocenia swoje szanse, myśli Caroline. Podobają mu się moje nogi w tych rajstopach. I widzi siebie w tych ciuchach, i uświadamia sobie, że przysłała tu nie po to, by zobaczyć się z Troyem, tylko po to, żeby on zobaczył ją, o tej godzinie, taką ładną.

Ponieważ jeśli wystroiłaś się dla swojego chłopaka, to nie wystroiłaś się dla profesora. Choć w obu przypadkach jesteś próżna i głupia.

Phil stoi i patrzy na nią, drapiąc się po żebrach.

Ale teraz piłka wraca nad siatką na ich stronę, a jej dziewczyny, jej siostry, wyciągają w górę dłonie, przyjmują ją i koniuszkami palców lekko posyłają jeszcze raz do Caroline, ładnie i wysoko, a ona jest gotowa, skręcona mocno i ciasno jak szykujący się do ataku grzechotnik.

– Nie mogę skorzystać z twojego zaproszenia, Phil – mówi – ale czy mógłbyś przekazać Troyowi wiadomość?

– Jasna sprawa, dziewczyno. Wiadomości to moja specjalność.

– Powiedz mu, że przysłałam się pożegnać.

– Pożegnać?

– Tak. Właśnie się dowiedziałam, że mam raka szyjki macicy. Czwarty stopień. Wracam do domu i nie chcę, żeby się ze mną kontaktował.

Phil jest blady, patrzy tępo, milczy. Odwraca twarz, ale nie spuszcza wzroku z Caroline.

– Wyczuwam w tym pewien fałsz – mówi, a ona, nie odrywając spojrzenia od jego zaróżowionych oczu, przyciska dłoń do jego bokserek i chwyta go za słabiznę swoimi długimi palcami. Phil zgina się wpół, wywraca oczy białkami na wierzch, łapie powietrze.

– Posłuchaj, Phil. Chcę, żebyś powiedział o tym Troyowi. O tym tutaj. – Patrzy mu w oczy. Trzyma go za jaja. – Rozumiesz tę wiadomość?

Pół godziny później jest na miejscu, piętnaście minut po czasie. Audrey siedzi na schodkach ubrana jak marynarz, który ma

wyruszyć w morze, w czarnej kurtce, czarnej wełnianej czapce, ciężkich zimowych butach – i ze sporym bagażem.

– O kurde, dziewczyno – mówi Caroline.

– No. Przepraszam... Nie wiem, kiedy wrócę.

Caroline przenosi połowę balastu, układają wszystko z tyłu jej toyoty, zapinają pasy i ruszają. Pięć minut później, gdy jadą sześćdziesiąt na godzinę po Union, Audrey odwraca się, żeby zobaczyć, jak jej przystanek autobusowy znika w tyle, i zauważa wypchaną niebieską torbę sportową na tylnym siedzeniu. Wystają z niej džinsy, skarpety i ulubiony sweter przyjaciółki. Audrey przygląda się Caroline – jest ubrana we flanelowe spodnie od pizamy, starą szarą bluzę z kapturem i różowe adidas. Przez chwilę patrzają sobie w oczy, a potem Caroline odwraca się z powrotem w stronę drogi.

– No co kurwa – mówi. – Przejazdzka.

Bo prawdę mówiąc, cieszy się, że ma pretekst, żeby się stąd urwać, wyjaśnia. Gdyby przyjaciółka po prostu zapragnęła zobaczyć swojego oswojonego kurczaczka, też chętnie by ją podwoziła – więc czy Audrey mogłaby łaskawie nie siedzieć przez całą drogę taka cholernie wdzięczna?

Kupują kawę i jadą na północ wzdłuż wschodniej granicy Arkansas, drogą międzystanową numer 55 w stronę Missouri. Dzień jest wietrzny, ale poza tym w sam raz na podróż.

Audrey przez chwilę milczy, a potem pyta:

– Oswojonego kurczaczka?

– Tak tylko powiedziałam.

– Co miałabym z nim robić?

Caroline wzdycha. Kiedy po pierwszym semestrze zapytano ją, dlaczego chce zmienić współlokatorkę, napisała „Niezgodność charakterów”. Nie miała pojęcia, jaki powód podała Audrey.

– Chodzi o Troya?

– Z czym?

– Z tym, że się cieszysz, że możesz wyjechać.

Caroline zerka na przyjaciółkę, a potem wraca wzrokiem na drogę.

– To mogą być różne rzeczy, Audrey. Może mam kryzys. Może uznałam, że studia to strata czasu i pieniędzy. Może sypiam z profesorem. Może doszłam do wniosku, że życie jest kurwa za krótkie. Może...

– Z którym?

– Co?

– Z Callawayem?

– Co? Nie. Serio?

– Z Bufordem?

– B u f o r d e m ? On ma, ja wiem, sto lat i śmierdzi jak stare prześcieradło.

– Ale ma ładne oczy.

– Ładne oczy. Jezu, Audrey. Nie sypiam z profesorem. To był tylko przykład. Wymieniłam różne h i p o t e z y, pamiętasz takie coś? Rozmawialiśmy o tym, pamiętasz?

– Tak. Ale ta po prostu zwróciła moją uwagę. Ta hipoteza.

– Cóż. – Caroline rozkłada ręce. – To zwróć uwagę na coś innego.

– Dobrze. Przepraszam.

– Nie musisz przeproszać – mówi Caroline, energicznie odgarniając włosy z oczu.

Zerka na Audrey, która sący kawę.

– Tak mnie widzisz? – pyta. – Jako dziewczynę sypiającą z profesorem?

– Nie. Nie przysłoby mi to do głowy, gdybyś sama o tym nie wspomniała.

– Ale potem szybko ci przyszło.

Audrey zatrzymuje rękę z kubkiem w pół ruchu. Później upija łyk kawy i mówi:

– To nie dlatego, że tak o tobie myślę. Tylko dlatego, że zawsze mnie zaskakujesz, Caroline. Zawsze. Spodziewam się, że mnie zaskoczysz. To wszystko.

Patrzą przed siebie. Za oknami rozwijają się pola, jak wielkie płachty sztruksu, brązowe i białe, tyle że ta biel to o tej porze roku nie bawełna, ale śnieg uwięziony w bruzdach. Nad horyzontem pochyla się przepastne puste niebo. Audrey wyciąga rękę, żeby dotknąć splątanych szklanych paciorków wiszących na lusterku wstecznym. Koralki zaczynają się bujać i stukać. Wśród nich, jakby w gnieździe, dynda biała królicza łapka, po której skaczą różnobarwne plamki światła. Toyotę Caroline dostała od ojca, łapkę od brata. *Kto jak kto, ale ten królik nie miał za wiele szczęścia*, powiedział ojciec. I: *Pojazd mechaniczny to nie miejsce na szczęście, córko. Oby chroniły go inteligencja, ostrożność i uwaga, a nie amputowana zwierzęca kończyna.*

– Więc o co chodzi? – pyta Audrey, a Caroline ociera oko; pojedyncza łza, skąd?

– Powiedzmy, że między innymi, ale nie wyłącznie, o Troya – mówi i przez kilka kilometrów obie milczą.

Potem odzywa się Audrey:

– Przykro mi, Caroline.

A Caroline odpowiada:

– Pieprzyć to. Pieprzyć go. Słuchamy muzyki czy jak?

Są już tylko parę kilometrów od Missouri, kiedy przychodzi pierwsza wiadomość; rozlega się dwutonowy sygnał i serce Caroline podskakuje jak tresowane zwierzę.

Ale ona ignoruje sygnał i serce. Patrzy na drogę, trzyma dłonie na kierownicy, na dziesiątej i drugiej. Słuchały starego albumu Radiohead, z płyty – toyota jest sprzed epoki bluetootha, z rok starsza – każda zatopiona w swoich myślach, i Caroline czeka, aż skończy się piosenka. Dopiero potem wyławia komórkę z płóciennej torby, czyta wiadomość, kładzie telefon na udzie i znów chwyta oburącz za kierownicę. Zaczyna się.

Komórka pika i wibruje na jej nodze, brzęczenie i wiadomość wnikają głęboko. Kładła ją w tym miejscu, gdy pisał do

niej w nocy, czekała, czując pod ciężarem telefonu swój puls, w udach, w brzuchu, wszędzie...

Mija cała minuta, trzecia wiadomość nie przychodzi, Caroline sięga po komórkę, samochód skręca, ona gwałtownie prostuje kurs. Trzyma telefon na kierownicy, jakby chciała odpowiedzieć. Audrey wyciąga rękę.

– Daj, ja to zrobię – mówi i bierze komórkę. – Co napisać?

Pierwszy żółty dymek głosi: *WTF C? Gdz jesteś?* Drugi: *To nie tak jak myślisz. Zajęcia, zadzwonię za godz.*

Caroline odrzuca włosy do tyłu.

– Napisz mu: „Nie wiesz, co myślę. Nie dzwoń, prowadzę”.

Audrey wstukuje wiadomość, wysyła ją i kładzie telefon na swoim udzie. Caroline zerka na niego, jej telefon na nie jej udzie, i odwraca wzrok.

Włącza muzykę, bębni palcami o kierownicę, kiwa głową, ale to nic nie daje; jakby w samochodzie był teraz jeszcze ktoś, jakby wzięły autostopowicza. Czekają, co odpowie.

Komórka pika i wibruje.

– „Proszę nie denerwuj się Ce” – czyta Audrey na głos. – W sensie litera C. „Proszę. Muszę z tobą pogadać”.

– Napisz mu: „Pogadaj z Philem. Zapytaj go, jak mu się podobało dziś rano”.

Audrey podnosi wzrok.

– Co podobało?

– Po prostu to napisz.

Audrey pisze i wysyła, a Caroline wyjaśnia jej, o co chodzi z Philem. Audrey siedzi bez ruchu z telefonem w dłoni. Milczy przez dłuższą chwilę.

– Jakie to było uczucie? – pyta w końcu, a Caroline zerka na nią.

– A jak myślisz?

– W sensie w tym układzie. Że z Philem.

Caroline prycha.

– Normalne, Audrey – mówi, patrząc na drogę. – Nic szczególnego.

Słońce zachodzi; rozkołysane koraliki łapią resztkę światła i rzucają kolorowe plamki na nogi dziewczyn. Muzyka pulsuje w głośnikach.

– Phil – odzywa się po jakimś czasie Audrey, jakby sama do siebie. – Mam nadzieję, że umyłaś ręce.

Caroline zaczyna się śmiać, głęboko i szczerze. Czuje w piersi Georgię, jak gdyby weszła do domu babuni i odetchnęła odurzającym zapachem ciasta pekanowego, i mówi tym południowym głosem:

– Och, Audrey, czasem po prostu cię uwielbiam.

A Audrey – która kocha ten głos, z a w s z e go kochała – odpowiada:

– Wiem. Ja ciebie też.

Wjeżdżają z dnia w noc, z kraju bawełny w kraj pszenicy, a potem kukurydzy, ale w tej zimowej martwocie pola są nie do odróżnienia, wszystkie brązowe i puste, coraz bardziej zawiane śnieżnymi zaspami. Gdzieś po prawej Missisipi, wijąc się, płynie tam, skąd przyjechały, na południe. Dziewczyny rozmawiają i rozmawiają, aż w chwili przerwy Audrey opiera poduszkę o okno, kładzie na niej głowę i zasypia.

Caroline jedzie dalej, nagle sama i świadoma samochodu – i drogi pod nim, i łączących go z nią czterech małych pasków gumy – w sposób, w jaki nie była świadoma jeszcze kilka sekund wcześniej, i po chwili dociera do niej: ta czujność pojawiła się, gdy jej pasażerka wyłączyła swoją. Ta bliskość, ta zależność, choć w tym przypadku współczesna w szczegółach, istnieje od zawsze, jest stara jak krew: bezwiedne głębokie zaufanie dzieci, które dawniej spały w otwartych jaskiniach, a dziś śpią w pędzących śmiercionośnymi autostradami samochodach prowadzonych przez rodziców, i pełna gwałtownej czułości odpowiedzialność, pulsująca w sercach matek i ojców siedzących za kierownicą... zastanawiając się nad tym, Caroline przez ileś kilometrów nie myśli o Troyu, a później uświadamia sobie, że od iluś kilometrów

o nim nie myślała, i pozamiatane, Troy wraca. Jego oczy. Jego dłonie. Jego zapach.

Caroline nie chce budzić Audrey, ale musi zatankować, więc piętnaście kilometrów dalej zjeżdża na stację. Przyjaciółka podnosi głowę i zsuwa czapkę z oczu.

– Gdzie jesteśmy?

– Już wyjechałyśmy z Kansas.

– Nie jechałyśmy przez Kansas.

– Wiem, Audrey.

Idą po kolei do łazienki, a potem rozglądają się za czymś do jedzenia – zeschnięte trójkąty pizzy, nuggetsy w papierowych kubełkach, zachęcająco spękane tłuste corn dogi – i w końcu decydują się na duże opakowanie cheetosów i dwie kawy z mlekiem w szklanych butelkach. Audrey proponuje, że zapłaci z tego, co jej zostało, ale Caroline macha ręką, żeby dała spokój. Wysoki chłopak przy kasie patrzy najpierw na jedną, później na drugą, beczelnie, jakby znacząco. Caroline zauważa to spojrzenie i odważemnia je: *Jakiś problem, koleś?*

Na zewnątrz powietrze jest bardzo zimne i pachnie śniegiem, choć nocne niebo jest czyste; dziewczyny przez chwilę stoją z uniesionymi twarzami i ściągniętymi ustami, wydychając jasne chmurki, które unoszą się i znikają wśród odległych migoczących gwiazd.

Teraz prowadzi Audrey. Mówi, że jej ojciec ma raka płuc – nawrót, w zasadzie – i lekarze nie dają mu żadnych szans. Caroline wie, że Audrey nie ma matki – zmarła na rzadką chorobę krwi, kiedy przyjaciółka miała zaledwie siedem lat – ani rodzeństwa; wie o tym z czasów, gdy dzieliły pokój w akademiku, tych najdawniejszych, kiedy jeszcze się starały, i dociera do niej, że za kilka miesięcy, czy ile to potrwa, Audrey zostanie dziewiętnastoletnią sierotą.

Za oknami przetacza się zimna noc, północna Iowa jest biała, płaska i pusta, tylko gdzieniegdzie ciemność rozświetlają pojedyncze wiejskie domy. Caroline wyobraża sobie przyjaciółkę na zewnątrz – w tych zimowych butach i czarnej wełnianej czapce,

zupełnie samą. Wyciąga rękę, żeby dotknąć kolorowych paciorków; królicza łapka jest taka miękka. Z tej perspektywy wszystko wydaje się dziwne. Na jej miejscu siedzi dziewczyna, która nie jest nią, i trzyma dłonie na kierownicy jej auta. Jakby Caroline przeszła jakąś przemianę. Co zobaczy, kiedy spojrzy w lusterko? Umysł płata jej figle. Powinna się zdrzemnąć.

Pociąga przez rurkę łyk zimnej kawy i pyta:

– Jakie masz plany?

– To znaczy?

– No... co zrobisz potem. Wrócisz na studia?

Audrey milczy.

– Nie wiem – mówi w końcu i zanurza dłoń w paczce z cheetosami.

Caroline wyławia telefon z torby, ale nie ma żadnych nowych wiadomości. Minęło już siedem godzin.

Nie żeby na coś liczyła.

I wcale nie zastanawia się, gdzie on jest, gdzie on kurwa jest.

I nie wyobraża sobie wielkookich zdzir trzepoczących do niego rżęsami.

Audrey siedzi za sterem i płynie naprzód. Spokojnie. Nieśpiesznie dogania i wyprzedza jakiś ciągnik od ciężarówki. Siedzący za kółkiem starszy facet zapuszcza żurawia do wnętrza toyoty. Spodnie od piżamy w muszle i rozgwiazdy, które ma na sobie Caroline, są tak sprane, że mogłyby być czymkolwiek. *Na co się gapisz, tirowcu? Lepiej patrz, jak jedziesz.*

Kiedy są już daleko, z powrotem na prawym pasie, Audrey pyta:

– Chcesz wiedzieć, co mi powiedział, kiedy go ostatnio widziałam?

– Kto?

– Mój tata. Szeryf. Były szeryf.

– Pewnie.

– Powiedział, że nigdy nie ma pod ręką dobrego Amerykanina ze spluwą, kiedy go człowiek potrzebuje.

– Co to znaczy?

– O to samo pytałam.

– I co powiedział?

– Że gdyby byli tylko on, lekarze i rachunki, już dawno byłoby po wszystkim. I mówi do mnie: „Nie boję się śmierci, ale muszę dbać o reputację, no nie? Ludzie z pewnością poczuliby się rozczarowani”.

– Co mu odpowiedziałas?

– „Tato, jeśli jeszcze raz powiesz coś takiego, sama cię zastrzelę”.

– A on?

– „To by dopiero namieszało, co, zastępczyni?”

Dziewczyny uśmiechają się do siebie, ich oczy błyszczą. Potem znów patrzą na drogę.

Jakieś przezroczyste jasne owady nurkują w świetle reflektorów i rozbryzgują się o szybę. Nie, to nie owady, uświadamia sobie Caroline – to jakiś opad, twardy i biały, ale nie śnieg. *M a r z n ą c y ś n i e g*. Nawierzchnia, przez tyle kilometrów szara jak sól, ciemnieje i zaczyna lśnić.

Audrey zwalnia.

– Nie podoba mi się to.

– Co?

– Nie czuję się za dobrze, prowadząc twój samochód w tym czymś.

– Audrey, pozwól, że ci przypomnę: Caroline z Georgii, Audrey z Minnesoty. Kiedy byłaś małym chłopcem, dziadzia Sven na pewno uczył cię jeździć pługiem śnieżnym.

– Mój dziadek nie nazywa się Sven.

– Poza tym to auto ma napęd na cztery koła.

– Jest włączony?

– Powinien być.

– Ale to twój samochód, Caroline. Ty go czujesz.

– Audrey, została nam mniej więcej godzina, prawda?

Prawda; jeśli wszystko dobrze pójdzie, za godzinę będą u jej ojca, przywitają się, umyją zęby i padną jak martwe na łóżko.

Tylko że po jedenastu godzinach w drodze ta ostatnia jest najdłuższa i najtrudniejsza, niezależnie od pogody, a na dodatek odzywają się ich pęcherze – rany, ta kawa po prostu przez nie przeleciała – więc zjeżdżają pierwszym zjazdem, tylko po to, by odkryć, że najbliższa stacja benzynowa znajduje się trzy kilometry od autostrady. Myśl o łaźnicy sprawia jednak, że jadą dalej wijącą się po wzgórzach jednopasmówką, która wypływa je w jakąś dolinę, na wąski stalowy most z zardzewiałym, podziurawionym kulami znakiem; kiedyś na znaku znajdowała się pewnie nazwa widocznej w dole rzeki, skutej ciemnym lodem, po którym jak węże pełzną smugi śniegu, a może widniało na nim ostrzeżenie, że most jest wąski albo pokrywa się lodem wcześniej niż droga. Tak czy owak, dziewczyny przejeżdżają przez most i wyjeżdżają z doliny, wspinają się pod górę i pokonują kolejny kilometr w dołującej szarej chlapie, aż w końcu docierają do stacji – oświetlonego niezdrowym światłem podejrzanego klockowatego budynku, który rozmazuje im się w oczach po tylu godzinach jazdy... Chryste, czy to jest w ogóle otwarte?

Dzięki Bogu jest.

Kotek, nwż gdz jesteś, co robisz, przyjadę tam. Przyjadę. Tylko powiedz.

Caroline wystukuje odpowiedź, patrzy na nią, potem ją kasuje i wrzuca telefon z powrotem do torby.

Ciężki śnieg uderza w okna. Caroline podkręca ogrzewanie i kieruje nawiew na szybę. Włącza wycieraczki, przelatują z chrupaniem dwa razy. Może powinna użyć skrobaczki, którą kupiła w zeszłym tygodniu po tej burzy śnieżnej. W budynku stacji za zaparowanym oknem siedzi z ołówkiem w dłoni duża dziewczyna o szerokiej różowej środkowozachodniej twarzy i rozwiązuje krzyżówki. Kiedy wchodzi, rzuca im przeciągłe spojrzenie, choć między ladą a półkami trudno się obrócić, o kradzieży zakurzonego starego badziewia nie wspominając. *Damska jest za rogiem, dziewczyny, klucz, proszę, cienki, tani,*

przyczepiony krótkim sznurkiem z czegoś, co wygląda jak wysuszone jelito oposa, do drewnianej drapaczki do pleców, pamiątki z Phoenix w Arizonie, jakby nie było lepszych miejsc, poczerniałej od dotykania, z żałobą pod dziwnie realistycznymi paznokciami – serio, takie coś dajesz ludziom, żeby chodzili z tym do twojego obleśnego nawet jak na stację benzynową damskiego kibla?

Caroline widzi dwa inne samochody. Żaden nie przyjechał zatankować albo oba już zatankowały; stoją pod budynkiem, po przeciwnej stronie niż ta, gdzie są łazienki. Nisko zawieszony kombi – drzwi kierowcy w kolorze zupełnie innym niż reszta karoserii, przednia szyba cała pokryta lodem – i stary dwukolorowy pikap, taki, jakiego miał jej dziadzia w Georgii... Zawsze grzebiący pod maską: *Podaj mi szesnastkę, robaczku...*

Caroline stuka paznokciami w kierownicę i czeka, aż Audrey pojawi się w oświetlonym żółtym światłem budynku stacji, odda drapaczkę dużej dziewczynie i posadzi tyłek z powrotem w aucie. W przednią szybę z jednej strony stuka śnieg, z drugiej dmucha na nią gorące powietrze, cienkie strużki wody spływają w dół po krzywiźnie szkła, *No chodź, Audrey, Jezu...* I nagle Caroline cała lodowacieje, a jej serce podskakuje, jakby coś się na nią rzuciło. Jeszcze raz patrzy na pikapa. W jego przedniej szybie odbija się światło, niedawno przejechano ją wycieraczkami i wciąż jest zbyt ciepła, żeby śnieg zamarzał na niej w białą skorupę jak na tamtym kombi.

Caroline zerka w okno stacji: dziewczyna siedzi w środku jak przedtem, pewnie to do niej należy kombi z zamrażniętą szybą. Jest całkiem sama.

– Szlag. – Caroline wychodzi z auta i rusza szybkim krokiem przez śnieg.

Słyszycie ich, jeszcze zanim skręci za róg.

– ...teraz lepiej. Widzisz, Bud? Jesteśmy przyjaciółmi.

Ten, który to mówi, trzyma dłoń na twarzy Audrey; na tle bladej skóry dziewczyny jego palce wydają się bardzo ciemne,

jakby zanurzył je w farbie albo smarze – dłoń jest biała, ale palce czarne. Oczy Audrey są niezwykle jasne, nawet w tym słabo oświetlonym pomieszczeniu, włosy potargane, jak gdyby przed chwilą ktoś ją za nie szarpał. Mężczyzna trzyma kolano między jej nogami i przyciska jej rękę do ściany, druga zwisa wzdłuż boku, przyciągana do ziemi jakąś straszną siłą – złamana? Jego twarz jest podrapana do krwi. Obaj mają tanie czapki z daszkiem i nic nieznaczącymi logotypami. Dżinsy i płócienne kurtki. Skórzane buty robocze, zwyczajne jak stare opony. Drzwi do damskiego są otwarte, uchylone; Caroline wie, że nie zamykają się same, nie da się ich też porządnie zamknąć od środka. Na paskudny odór zleżalej szczyny nakłada się smród piwa i papierosów od tych dwóch. Caroline rejestruje to wszystko w ułamku sekundy, zanim ją zauważą – zanim zobaczy ją Audrey, a oni zobaczą, że ją widzi.

Ten bliżej, ten, który trzyma się z boku i patrzy, zerka jeszcze na to, co Caroline wyciąga w jego stronę, zanim z sykiem wystrzeli mu w oczy, a potem łapie się za twarz i z krzykiem odskakuje do tyłu – potyka się o własne nogi, pada na betonową podłogę i tarza się po niej, jakby płonął. W powietrzu unosi się gorzka mgiełka i czuć smak pieprzu, Caroline zaczynają piec oczy. Drugi mężczyzna, to nie mężczyzna, widzi teraz, młody chłopak, obaj mają najwyżej po dwadzieścia lat, drugi chłopak puszcza Audrey, by podnieść rękę – imponujący refleks, sprej wsiąka w jego rękawy, „Nie psikaj tym na mnie, pizdo jebana” – zatacza się i odwraca plecami dokładnie wtedy, gdy trafia w niego kolejna porcja gazu. Caroline wolną ręką łapie przyjaciółkę za ramię i ciągnie ją do drzwi, z dala od gorzkiej chmury, a Audrey ciągnie ją dalej, ale bez skutku. Caroline nigdzie się nie wybiera.

– Co powiedziałeś? – pyta.

Trzyma pojemnik na wysokości głowy, wycelowany, ale chłopak stoi plecami do niej z twarzą ukrytą w dłoniach. Caroline się nie rusza, tylko mruga i mruga, chłodna noc lśni od gryzącego gazu.

– Co powiedziałaś? – powtarza.

A on po prostu tam stoi, zgarbiony nad własną twarzą. Drugi kuli się na betonie i jęczy: *Jezu, tyś mnie kurwa oślepiła*, koło jego głowy leży drewniana drapaczka, dziwny przedmiot, jakby oderwana ręka lalki.

– Powiedziałem: „Nie psikaj tym kurwa na mnie, pizdo jebana” – mówi ten drugi.

– Caroline, chodźmy.

Audrey ciągnie ją. Ciągnie.

– Dłaczego się nie odwrócisz i nie powiesz mi tego w twarz, zapluty upośladzie?

– Odłóż to gównno, to dostaniesz więcej.

Caroline psika mu gazem w kark. Chłopak nie zmienia pozycji, ale trochę się odsuwa.

– Ty szmato – syczy. – Przysięgam na Boga...

– C a r o l i n e – mówi Audrey i szarpie ją tak mocno, że przyjaciółka traci równowagę, i nagle idą, potykają się, zataczają, brną w stronę stacji, powolne i ociężałe, i pragną tylko światła, tego pięknego żółtego światła. Kiedy jednak Audrey skręca w stronę szklanych drzwi, Caroline znów ją łapie. Przez chwilę się szarpia, a potem Audrey patrzy w okno: dziewczoja, która dała im klucz, siedzi za ladą tak samo jak wcześniej, tak samo rozwiązuje krzyżówki, różowa, miękka i całkiem sama w zagraconym sklepiku. Może udałoby się zamknąć drzwi na czas, ale jeśliby się nie udało i tamci dostaliby się do środka...

Toyota stoi z włączonym silnikiem tam, gdzie Caroline ją zostawiła. Drzwi otwierają się i zatraskują, chłopaki ich nie łapią, nigdzie ich nie widać. Caroline wrzuca bieg, samochód podskakuje i z poślizgiem wyjeżdża ze stacji, dziewczyny są w środku, ich serca walą jak oszalałe.

– Nic ci nie jest? – krzyczy Caroline przez łyzy, które gaz wycisnął z jej oczu. – Audrey, nic ci nie jest?

– Nic mi nie jest. Zwolnij!

– Wiesz, gdzie jesteśmy?

– Trzy kilometry od autostrady. Zwolnij.
– Gdzie dzwoniisz? – Audrey trzyma telefon w obu dłoniach; jej ręka jest w porządku, czemu jej nie użyła?
– Na policję.
– Na policję? Po co?
– Mogą za nami jechać.
– Kurwa, powinnam była sobie załatwić to pozwolenie...
– Tak, halo – mówi Audrey spokojnie. – Dzwonię, żeby zgłosić próbę napaści.

– Próbę gwałtu! – krzyczy Caroline.
– Tak, jesteście bezpieczne. Co? Gdzie?

Są na wąskiej jednopasmówce, jadą w dół. Caroline dopiero w połowie wzgórza przypomina sobie o śniegu i stalowym moście na dole – ale kiedy zaczyna hamować, nic się nie dzieje. Albo raczej dzieje się coś bardzo dziwnego: auto obraca się pod kątem do drogi i sunie dalej z tą samą prędkością.

– Caroline, nie hamuj...
– Co?
– Zdejmij stopę z...
– Audrey, kurwa...

Przez chwilę suną prostopadle do jezdni, a potem samochód odwraca się tyłem do kierunku jazdy i dziewczyny widzą wzgórze, z którego zjechały – czarne ślady opon toyoty układają się na śniegu w długą podwójną helisę – i jedna lub obie krzyczą, gdy znów je obraca; kierownica jakby oddziela się od samochodu, kręci się w dłoniach Caroline z bezsensowną łatwością, a wraz z nią wiruje cały świat, śnieg migocze jak szalony w świetle reflektorów – zasypane pobocze, droga, most, wszystko się rozmazuje – aż w końcu auto ześlizguje się z drogi i wbija przodem w głęboki śnieg, przednie koło od strony pasażera wpada do rowu i suną coraz dalej w zaspę, zwalniają, aż wreszcie gwałtownie się zatrzymują, tuż przed pierwszymi podporami mostu, na samej krawędzi wysokiego brzegu. Trzymają się sztywnymi rękami kierownicy i deski rozdzielczej, patrzą w pustkę przed sobą, ich

serca dudnią. W światłach bieleją płatki śniegu zmierzające ku niewidocznemu celowi gdzieś daleko w dole.

– Caroline – mówi Audrey.

– Co?

– Zgaś silnik, proszę.

Caroline gasi silnik. Pragną bezruchu. Pragną spokoju. Jak w tych scenach z filmów, kiedy samochód zawisa nad przepaścią. Wprawdzie toyota nie wisi i nie są nad przepaścią, tylko nad brzegiem rzeki, ale i tak.

Wnętrze auta jest jak akwarium, podświetlone na zielono przez kontrolki na tablicy rozdzielczej, zamknięte w szkle. Gęsty podwodny świat. Nawet powietrze tak pachnie, tak smakuje: wodorosty, muł, ryby. Serca dziewczyn tworzą między nimi pulsujący nurt, przesyłają sygnały w zawiesistym zielonym blasku. Cienkie włosy Audrey unoszą się i kołyszą niczym czarne rzęski nad jej głową. Przyjaciółki odnajdują swoje spojrzenia, a w nich coś – może własny krzyk, który wciąż dzwoni im w uszach, a może wspomnienie tego, jak przewracały się im wnętrzości, gdy samochód kręcił młynka na drodze – co rozśmiesza je do utraty tchu.

– Tyś mnie kurwa oślepiła! – parska Caroline. – Słyszałaś wsiura?

A potem w lusterku wstecznym widzi reflektory – dwie żółte lampy zjeżdżające ze wzgórza, zbliżające się ze stałą prędkością, spokojne i stabilne. Jakby ten samochód jechał jakąś inną drogą, na której wciąż obowiązują prawa fizyki.

– Kurczę, szybcy są – mówi.

Audrey też widzi światła.

– Caroline.

– Co?

– To nie jest policja.

Caroline patrzy jeszcze raz.

– Skąd wiesz?

– Nie włączyli koguta.

No tak, jej ojciec był szeryfem. Jeździła z nim po tej ich Arktyce i pewnie sama włączała światła policyjne. I syreny. *Bierzemy ich, zastępczyni.*

Gdzie jest teraz ten szeryf? Gdzie jest tata?

Leży w łóżku i umiera na raka.

Audrey przypomina sobie o telefonie i podnosi go do ucha.

– Halo? H a l o?...

Tamte reflektory są już na dole i wypełniają wnętrze toyoty światłem. Audrey odwraca się, żeby spojrzeć przez ramię; jej twarz też przypomina jakąś lampę, jasna jak księżyc, z oczami prawie pozbawionymi koloru, ze źrenicami niczym łebki od szpilki. Dziewczyna opuszcza komórkę i mówi głosem cichym jak nigdy:

– Spokojnie, Caroline.

Drugi samochód jest już tak blisko, że tył toyoty zasłania jego reflektory, ale ich światło wciąż zalewa jej wnętrze, i też zjeżdża na pobocze, ale nie aż tak daleko jak one, hamuje tuż przed zaspą. Słysząc opony na śniegu, a później opony, które się nie zatrzymują, ślizgające się opony. A potem uderzenie.

Nie można tego nawet nazwać stłuczką. Przyjacielski kuksaniec, powiedziałby dziadzia Caroline – koraliki z Mardi Gras klekoczą, kołyszą się i błyszczą. Kolorowa królicza łapka. I wtedy, w chwili gdy następuje to uderzenie, ten przyjacielski kuksaniec, Audrey przypominają się jastrząb i wiewiórka, pojawiają się z łopotem w jej głowie, niczym sen, skrzecząca wizja pozbawiona związku z rzeczywistością, i przez moment dziewczyna myśli: *To też nie dzieje się naprawdę!* przez moment w to wierzy.

Przyjacielski kuksaniec, błąd w ocenie odległości – wypadek, na pewno. I zsuwają się z krawędzi.

Z punktu widzenia tamtego kierowcy musiało to wyglądać tak: najpierw światła wyłowiły z ciemności przycupniętą w zaspie na poboczu toyotę – stała pewnie, torby i walizki z tyłu, głowy dwóch dziewczyn z przodu – a potem jasny owal twarzy pasażerki odwracającej się, żeby na niego spojrzeć. Czy to ta jasna

twarz, która pojawiła się tak nagle, rozproszyła go i sprawiła, że nie zatrzymał się na czas, uderzył w nie i zobaczył ten niewiarygodny obraz: unoszący się w górę tył auta, przód nurkujący w dół – a później wszystko, toyota, bagaż, dziewczyny, wszystko nagle ześlizgnęło się poza zasięg wzroku i po prostu... zniknęło?

Czy krzyczały? Czy miały na to czas? Czy może upadek był zbyt szybki i oczywisty, by krzyczeć? Przednie koła się zablokowały – czy Caroline Price mimo to wcisnęła swoją silną nogą pedał hamulca? Jakie myśli rozbłyły w ich głowach, kiedy samochód spadał, kiedy nabierając prędkości pod własnym ciężarem, leciał w dół ku ciemnej powierzchni rzeki – ku niewyobrażalnej ciemności i niewyobrażalnemu zimnu, ku gładkiemu czarnemu lodowi pełnemu własnych świateł, własnych gwiazd? Czy podczas tych dwóch, może trzech uderzeń serca wzięły się za ręce? Czy wyciągnęły do siebie dłonie w ciemności, jakby robiły to przez całe życie? Czy odnalazły się i objęły jak siostry?

CZĘŚĆ II

Gazeta, która dawniej co rano lądowała zwinięta na jego ganku i uderzała w ciemności o deski, jakby oznajmiała, że nadszedł nowy dzień, jakby żaden dzień nie mógł zacząć się bez tego dźwięku, już od lat się nie ukazywała, ale dni wciąż nadchodziły, wiadomości też, z czasem, choć wtedy oglądał w telewizji jedynie prognozę pogody przy porannej kawie, i to tylko po to, żeby wiedzieć, czego się spodziewać na dworze, choć rzadko wpływało to na jego plany, czy nawet na to, w co się ubierał – dlatego nie od razu dowiedział się o wypadku, o tych dwóch dziewczynach, studentkach, w rzece, dopiero później, w ciągu dnia, kiedy w końcu dotarł do Eileen Lindeman, żeby sprawdzić, skąd się bierze ten zapach w łazience na dole.

Zimowe słońce już zachodziło, kończył się dzień wypełniony drobnymi zleceniami na mieście i poza nim. Eileen mieszkała w centrum, na wschodnim brzegu rzeki, i dawniej bardziej by się tym przejmował, zaparkowałby przecnicę dalej, choć i tak nie powstrzymałoby to ludzi od gadania.

Ale teraz życie Gordona Burke'a nie było takie jak przedtem i każdy, kto zobaczyłby jego samochód na podjeździe Eileen, wiedziałby, że przyjechał coś naprawić, i tyle. Za bardzo się wszystko zmieniło, żeby w grę wchodziły inne możliwości.

Chodzi o uszczelkę – stwierdził od razu i zademonstrował, bujając sedesem: kafelki położono nierówno, przez co porcelit nie wszędzie dobrze przylegał do podłogi; uszczelka nie miała szans. Wystarczyło najmniejsze uszkodzenie i po domu rozchodził się smród gazu ściekowego.

Kafelki położył Brad, wyjaśniła Eileen, jej były, przy okazji jednego ze swoich remontowych zrywów.

– Sprawdził w sieci. Powiedział, że każdy, kto umie czytać, jest w stanie to zrobić.

Musiało to być jakieś dwanaście, trzynaście lat temu. Brad Lindeman, prawnik, odszedł do młodej koleżanki po fachu z Saint Paul; mniej więcej w tym czasie podobny numer wykręciła żona Gordona – w jej przypadku chodziło o faceta z banku – zostawiając go samego z nastoletnią córką. Co, prawdę mówiąc, przyniosło mu ulgę. Odebrał to wręcz jako błogosławieństwo.

Teraz stał w tej małej łazience i patrzył na sedes, na kafelki. Eileen stała tuż za nim, jej twarz odbijała się w lustrze nad umywalką.

– Wiesz, co znajdę, kiedy podniosę muszlę? – zapytał.

– Krasnoludka?

– Nie. Uszczelkę za dwa dolary, mniej więcej takiej grubości, nawet nie ściśniętą. Dziwię się, że to tyle wytrzymało.

Obserwowała go w lustrze, patrzyła na jego dłoń, kiedy pokazywał grubość uszczelki, a gdy spojrział w jej oczy, zobaczył, że tamto wciąż się w nich tli – jak wzmianka na marginesie, przypomnienie na wszelki wypadek, jeśliby chciał. Po odejściu Meredith była pierwsza. Cztery lata bez kobiecego dotyku, w tym ostatnie dwa lata małżeństwa, o ile nie liczyć dotyku pięści, wariackich ciosów o drugiej w nocy – jego wina, zawsze jego wina. Że jest pijana. Że sypia z innym.

Nie szukał tego, nie tęsknił za tym; miał pracę, firmę, szesnastoletnią córkę do wychowania. Ale Eileen chciała wydać pieniądze Brada: nowy bojler na dole, nowy zlew na górze, nowa armatura w dużej łazience... aż w końcu został już tylko ten jeden powód.

Możesz parkować na podjeździe, Gordon. Przecież nie robimy nic złego.

Ludzie gadają, Eileen.

To niech gadają.

Chodziło mu o to, że gadali o Meredith. Gadali o Bradzie Lindemanie. A teraz będą gadali o Gordonie i Eileen, dwojgu zdradzonych i porzuconych, którzy padli sobie w ramiona – na litość boską.

Spojrzał na sedes i powiedział:

– Nie powinno mi to zająć więcej niż godzinę.

Eileen zapewniła, że nie musi się spieszyć. zaproponowała mu kawę, piwo? ale podziękował – najlepiej będzie, jeśli od razu zabierze się do roboty – więc uśmiechnęła się do niego w lustrze i wyszła.

Stara woskowa uszczelka podniosła się razem z muszlą, ale łatwo się od niej odkleiła; szerniała od brudu, ale zachowała mniej więcej pierwotny kształt i oryginalną grubość, centymetr z kawałkiem, tak jak się spodziewał. Wymienił ją na harvey's no-seep #5, umieścił sedes z powrotem na miejscu i poczuł, jak wosk ugina się pod porcelitem; dokręcił nakrętki, podłączył spłuczkę, poczekał, aż zbiornik się napełni, a później spuścił wodę i patrzył, jak spływa w głąb muszli.

Zerknął na zegarek. Godzina, wszystko razem. Wspiął się na podjazd po zaspanych śniegiem schodkach i schował narzędzia do samochodu. Niebo było pełne jasnych gwiazd. Temperatura spadła do jakichś minus dziesięciu.

Obtupał buty przed głównymi drzwiami, a potem wszedł do środka i stanął na wycieracze. Czekał, aż pojawi się Eileen. Zapaliła lampy w salonie i światło w kuchni. Wszędzie było mnóstwo mebli, jakby w każdej chwili spodziewała się tłumu gości. Nie miała dzieci. Raz czy dwa poroniła, tak mówiono. Dom samotnej kobiety po pięćdziesiątce. Wszystko na swoim miejscu.

Zrobił krok naprzód i zajrzał do kuchni.

– Eileen?

Gdzieś brzęczał telewizor. Nie na dole i nie w salonie. Z tego, co Gordon wiedział, miała jeszcze tylko odbiornik w sypialni. Powtórzył jej imię, tym razem głośniej. Nie chciał chodzić po dywanie w butach, ale nie chciał ich też zdejmować. Jeszcze raz przesunął podszwami po wycieracze, przeszedł przez salon i ruszył w stronę schodów prowadzących na półpiętro, gdzie znajdowała się sypialnia. Unosił się tam lekki zapach jej perfum i ten

drugi, ten, który przenikał jej skórę, włosy, zapach przywodzący na myśl spiętrzone na zapleczu sklepu skrzynki z owocami. Choć może tylko tak mu się to kojarzyło, bo kierowała dzienną zmianą w supermarkecie. Tak czy owak, ten zapach istniał... czuł go przed laty, kiedy rozpinając sukienkę, wychodziła z niej w świetle stojącej przy łóżku lampy i szła w jego ramiona.

Nie będzie zostawał na noc, zastrzegł wtedy, ze względu na córkę. Ze względu na to, co przeszła z Meredith. Eileen zrozumiała. Ale jakiś czas później Holly pojechała na weekend do matki – Meredith wówczas podobno nie piła i mieszkała z jakimś nowym facetem, nie tym z banku, tylko z przedsiębiorcą budowlanym, który też miał córkę – Gordon wypił wtedy za dużo wina i już zasypiał, kiedy Eileen oznajmiła, że chce mu o czymś powiedzieć, o czymś, o czym nigdy nikomu nie mówiła, nawet Bradowi. A potem opowiedziała mu o mężczyźnie, który ją podwiózł. Miała piętnaście lat, on był pod krawatem, na jego palcu lśniła obrączka, a samochód wyglądał jak srebrny buick jej ojca, więc wsiadła. Ale gdy dotarli do domu Eileen, on nie skręcił, tylko jechał dalej, szybko. *Niech pan tego nie robi*, poprosiła. *Jest pan dobrym człowiekiem*. Z wyrazu jego twarzy domyśliła się, że tego nie planował, że nie wie, co robi, nie wie nawet, gdzie ją zawieźć. Zrozumiała, że to jego pierwszy raz. *Widziałas mnie*, oznajmił, a ona odparła: *Nie, nigdy pana nie widziałam. Ani tego samochodu, przysięgam na Boga*. Spojrzał na nią. *Wierzysz w Boga?* spytał. *Tak, proszę pana*, odpowiedziała z płaczem, *wierzę*, i wtedy zwolnił. Zjechał na pobocze i zatrzymał się. Siedział z rękami na kierownicy i patrzył przed siebie. A ona po prostu wysiadła, zatrzasnęła drzwi i poszła do domu.

I nigdy nikomu o tym nie mówiłaś? spytał Gordon po długim milczeniu. Leżał obok niej, jego serce dudniło w ciemności.

Nikomu, powiedziała. Oglądała wiadomości, żeby się dowiedzieć, czy nie zaginęła jakaś inna dziewczyna, ale nie zaginęła, nie w tej okolicy.

Głupia, głupia, mruknęła sennie. Gordon milczał.

Powinnaś była powiedzieć rodzicom, odezwał się w końcu. Zgłosić to na policję. Coś ty sobie do cholery myślała? – jego serce waliło jak młotem, mówił coraz głośniejszym głosem, dopóki nie włączyła lampki i nie powiedziała: Gordon, G o r d o n, jakby chciała go obudzić; leżała, podpierając się łokciami, patrzyła na niego przerażona, a potem zrozumiała, Och, Gordon, przepraszam, nie powinnam ci o tym opowiadać... Bo jego córka miała szesnaście lat, piła i brała narkotyki. I dawała się podwozić do domu samochodami, których nigdy wcześniej nie widziała i miała nigdy więcej nie zobaczyć, i każda noc, gdy nie wróciła przed dwunastą, była najdłuższą nocą w jego życiu, i był z tym całkiem sam, i nie wiedział, co robić, wiedział tylko, że wszystko robi nie tak.

Tak czy owak, niedługo po tamtej nocy, kiedy Eileen Lindeman mu to opowiedziała, cokolwiek go z nią łączyło, skończyło się, po prostu, tak jak przepala się żarówka. I następnym razem, gdy do niego zadzwoniła, rok czy dwa lata później, chodziło o cieknącą rurę w piwnicy; ona nie wiedziała, do kogo zadzwonić, on wykonał swoją robotę, i tyle. Jakby nic się między nimi nie wydarzyło.

W podobny sposób znalazł się w jej domu dzisiaj i zaglądał teraz do jej sypialni, przekrzykując telewizor:

– Eileen?

Siedziała w białym fotelu, tym co zawsze, opierając boscie stopy na podnóżku. Tylko stopy miała nagie; była ubrana w to samo, co miała na sobie, kiedy go wpuszczala, czarne spodnie i zielony sweter, które nosila w pracy. Kieliszek wina rzucający ciemnoczerwony cień na blat stolika. Gładko pościelone duże białe łóżko. W telewizji wieczorne wiadomości. Gdy Gordon w końcu spojrzal na jej twarz, zobaczył plamy pod oczami – ciemne smugi na policzkach, jakby wielkie odpadnięte rzęsy.

– Wszystko w porządku? – zapytał, a ona spojrzala na niego dziwnie i odwróciła się do telewizora.

Opowiadali o jakimś wypadku z poprzedniej nocy. Dwie dziewczyny w samochodzie, na samej granicy z Iowa. Śliska droga, Lower Black Root. Studentki. Jedna pochodziła stąd. Wiedział,

kim była. Znał jej ojca. Oczywiście, wszyscy go znali; był szeryfem hrabstwa, kiedyś, i jego nazwisko w wiadomościach otworzyło w sercu Gordona szczelinę pamięci, wskrzesiło dawny ból.

Eileen wstała z fotela, odpychając się rękami, i sięgnęła po kieliszek, jakby musiała się napić.

– Słyszałam o tym w pracy – powiedziała – ale bez nazwisk.
– Otarła twarz wolną dłonią, a potem wytarła palce w nogawkę. – Gordon, tak mi przykro. To takie okropne...

Ale on patrzył w ekran.

Pokazywali zdjęcia z miejsca wypadku: widok rzeki z góry, może z mostu; zdjęcie pękniętego lodu i snopów światła przecinających postrzępioną dziurę niczym miecze. Kobięcy głos z offu mówił: „Jeśli chodzi o drugi pojazd, o ewentualne zabójstwo, służby na razie nie udzielają komentarzy”. Zdjęcie samochodu, małego SUV-a wyciąganego na brzeg jakby przez znajdującego się poza kadrem wędkarza, na dachu, kołami do góry. Jedna z dziewczyn jest w szpitalu w Rochester, drugiej wciąż nie odnaleziono. Gordon patrzył, dopóki sprawozdanie się nie skończyło i nie zaczęły się reklamy.

Pokój wokół ekranu poczerniał. Uszy Gordona wypełnił odgłos podobny do szumu płynącej miedzianymi rurami wody, w jego oczach zaczęła pulsować krew, jakby uderzały w nie jakieś małe młoteczki. To była ta dawna czerni, dawna wściekłość, a w środku niej zobaczył siebie samego, na kolanach, jak w pracy, ale teraz wyglądał, jakby się modlił, wysoko unosząc trzymanego oburącz wielkiego stillsona, by opuścić go na czekającą na cios czaszkę. Trzask, miażdżący cios. I żadnych więcej myśli, uczuć, wspomnień – tylko mokra różowa sieczka z kości i mózgu.

Potem mrok powoli się wycofał. Serce wciąż waliło, ale już mniej dziko. Otworzył pięści.

Trzymała dłoń na jego ramieniu – jak długo?

Podniósł rękę, ona zabrała swoją. Spojrzał na zegarek.

– Godzina – oznajmił.

Eileen Lindeman stała przy nim i badawczo mu się przyglądała.

– Godzina?...

– Tam na dole. Godzina.

Próbowała spojrzeć mu w oczy, ale na nią nie patrzył. Patrzył na pokój za jej plecami, na schludnie pościelone łóżko z dużymi białymi poduszkami u wezłowania. Łóżko jak każde inne. Albo inscenizacja, z innymi meblami do kompletu, jak w sklepie.

– Oczywiście – powiedziała. – Oczywiście. – I wyprowadziła go z sypialni, żeby znaleźć torebkę i zapłacić.

NOWA POWIEŚĆ AUTORA ŚWIATOWEGO BESTSELLERA *W DÓŁ*.

Jest środek zimy.

Audrey dowiaduje się o chorobie ojca. Razem z Caroline, swoją przyjaciółką ze studiów, wyrusza samochodem do oddalonej o ponad tysiąc kilometrów Minnesoty. Są już prawie u celu, gdy zostają zaatakowane przez dwóch młodych mężczyzn i wpadają do lodowatej rzeki. Audrey cudem udaje się przeżyć. Caroline tonie. Wypadek otwiera stare rany. Mieszkańcy rodzinnego miasta Audrey przypominają sobie o innej dziewczynie, która dziesięć lat wcześniej utonęła w tej samej rzece. I o tym, że zabójca być może wciąż mieszka wśród nich.

Audrey nie może uwolnić się od poczucia, że z tą nierozwiązaną sprawą łączy ją coś więcej niż tylko rzeka. Kiedy podejmie własne dochodzenie, obudzą się zamrożone w czasie upiory, złamane życiorysy, nieudowodnione podejrzenia, rozpacz i przemoc.

PEŁNA NAPIĘCIA, ZNAKOMICIE NAPISANA OPowieść O TYM, JAK TRUDNO UWOLNIĆ SIĘ OD PRZESZŁOŚCI.

**KUP
TERAZ!**

cenę 39,90 zł

WYDAWCA REKONIT

PORTAL
KRYMINALNY

POCISK

4 CZYTAJMY
KRYMINALNY.PL

w sprzedaży także

eBOOK